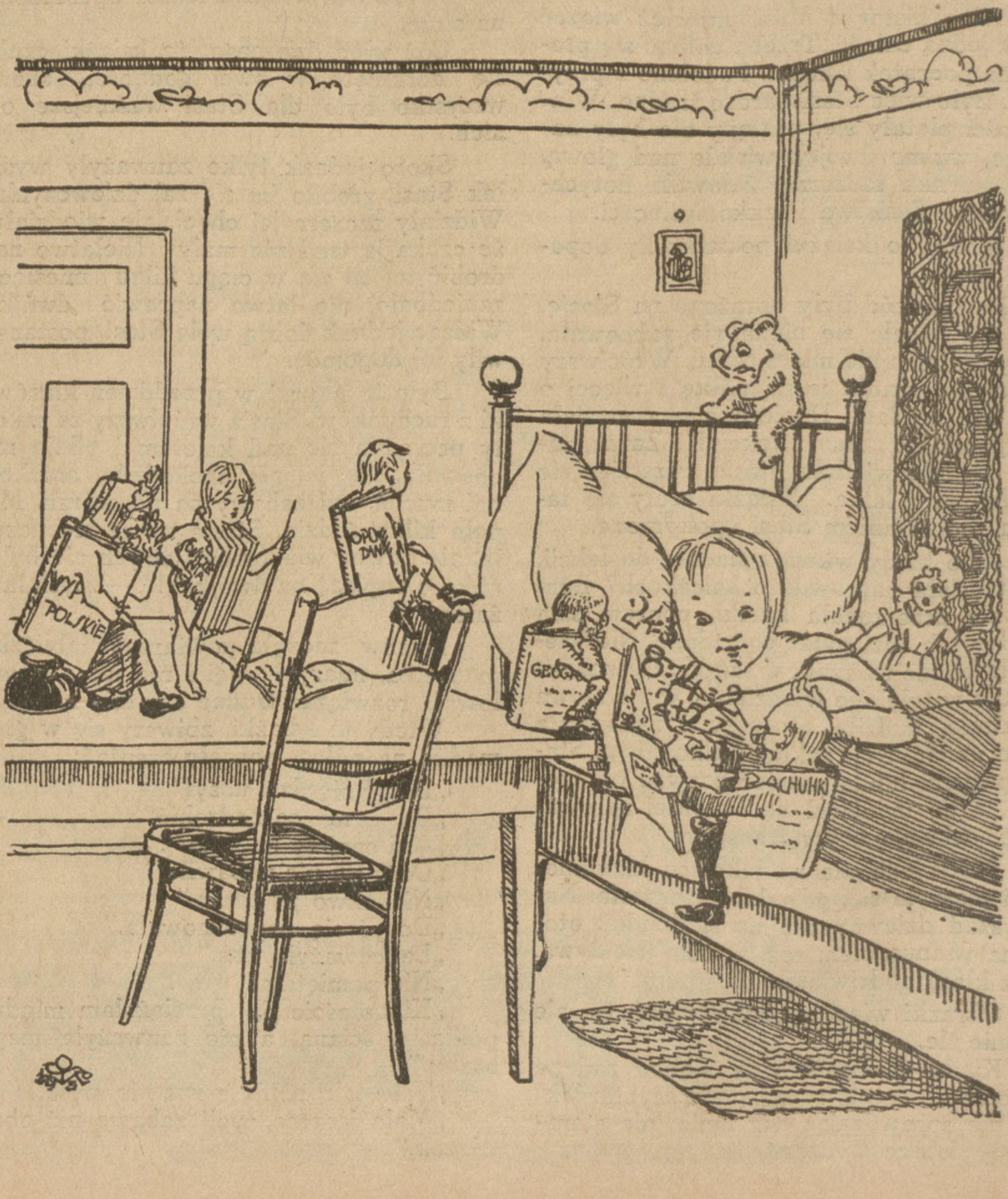
NR. 5 NIEDZIELA, 2 MARCA 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



Umowa Stasi z książkami

Stasia miała dwójkę na półroczu. Nawet nie jedną lecz... trzy. Dużo było wstydu i przykrości. I Stasia postanowiła poprawić się. Ale nie było to łatwo. Trudniej naprawić, niż popsuć. Okazało się, że teraz nie wystarczyło tylko uczyć się z lekcji na lekcję. Brakowały dawne wiadomości. Naprzykład rachunków Stasia nie rozumiała zupełnie. Trzeba było sięgnąć w tył, co nie było łatwą sprawą. Bo co cała klasa przechodziła powoli, przez kilka miesięcy, musiała Stasia nadrobić w kilka dni. Albo historja! Musi przecież wiązać się w jedną całość. Trzeba cofnąć się prawie na początek książki. Podobnie z przyrodą. Było więc Stasi bardzo trudno. Wiadomości plątały się, postępy nie były należyte, widmo dwójek wisiało nad głową. Dziewczynka szczerze żałowała dotychczasowego lenistwa i lekkomyślności.

Wtedy to książki postanowiły dopomóc Stasi.

Bo naprzód były obrażone na Stasię. Jak to? Wcale się niemi nie zajmowała, nigdy dla nich nie miała czasu. Wróciwszy ze szkoły, kładła je na półkę i więcej o nich nie myślała. Dopiero mama musiała przypominać: „Stasiu, lekcje!" „Zaraz, zaraz" — odpowiadała Stasia, rozstając się niechętnie z lalką. Książki czuły się takiem zachowaniem Stasi upokorzone.

Albo kiedy wkońcu siadała do lekcji, czy myślała naprawdę o książkach? Bezmyślnie przerzucała kartki, poczem szła do Heli lub Józi pytać co zadane. Nie wiedziała bo nie uważała w szkole. Dawno już została w tyle, nie wiedziała o czem mowa w klasie, nudziła się więc i zajmowała czem innem. Naprzykład kalkomonją. Stasia pasjami lubiła odbijać barwne obrazeczki, a do mydlarni na Dalekiej sprowadzono właśnie nowy transport.

Stasia odbijała na lekcjach kalkomonję i cieszyła się, gdy dobrze wyszła. Naprzykład dziewczynka ze skakanką, otoczona wianuszkiem róż, wyszła jak żywa. Cała klasa podziwiała.

Obrazki więc wychodziły dobrze, ale stopnie źle.

Kiedy dowiedziawszy się co zadane wracała do domu, przeglądała szybko lekcję, nie sprawdzając czy umie, nie starając się dobrze wyuczyć.

Wszystko, co się wokoło działo, zajmowało ją więcej, niż książka. Kot, krążący koło pieca, mucha, która leniwie posuwała się po ścianie. Skąd się tu wzięła? gdzie dotąd siedziała? O! jak powoli lezie! Czy pójdzie wprost, czy skręci w bok?! A gdy na podwórku pojawiły się Fela z Manią i poczęły się bawić w berka, Stasia nie wytrzymała. W następnej chwili była na podwórku, i przyłączyła się do zabawy.

A otwarta książka leżała opuszczona na stole.

Cóż więc dziwnego, że książki czuły się dotknięte w swej godności, skoro wszystko było dla Stasi ważniejsze od nich.

Skoro jednak tylko zauważyły wysiłek Stasi, zrobiło im się żal dziewczynki. Widziały szczere jej chęci, ale wiedziały, że czeka ją trud nie mały. Niełatwo nadrobić to, co się w ciągu kilku miesięcy zaniedbało, nie łatwo naprawić dwójki. Widząc jednak dobrą wolę Stasi, postanowiły jej dopomóc.

Było to akurat w przeddzień klasówki z rachunków. Stasia wróciwszy ze szkoły pochyliła się nad kajetem i pilnie rachowała. Nic jej nie obchodziło, ani kot, ani mucha, ani zabawy na podwórzu. Minęło kilka godzin, Stasia wciąż się uczyła, ale pewną wiadomości swych nie była. „Skoro napiszę na dwójkę?!" — myślała z żalem.

I znów zaczęła powtarzać tabliczkę mnożenia, miary i wagi i raz jeszcze usiłowała rozwiązać trudne ostatnie zadanie.

Wtedy to książki, zbiwszy się w gromadkę na półce, poczęły szeptać:

„Długo się dziś uczy!"

„Ba — ma co nadrobić!"

„Ani spojrzy na lalkę".

„Dość się nią nabawiła."

„Nie .atwo jej teraz."

„Dosyć się napróżnowała."

„Lekceważyła nas."

„Nie pamiętała."

„Kilkanaście dni przeleżałam między półką, a ścianą, a nie zauważyła mego braku."

„Tak! tak! nigdy o nas nie myślała..."

„Mała jeszcze, woli zabawe niż obowiązek."

„Od małego należy się przyzwyczajać".

Tak szeptały książki. Jedna broniła, druga dąsała się jeszcze, trzecia miała wielki żal... Ale wkońcu wszystkie postanowiły pomóc dziewczynce.

Spojrzały na plan: jutro rachunki, klasówka!

Tymczasem Stasia zmęczona już i senna, odłożyła rachunkową książkę i kajet na półkę i poszła spać. W pokoju zrobiło się cicho, tylko na półce trwały tajemnicze jakieś szepty i narady, ale słyszeć mógł je tylko ten, komu Bajka-czarodziejka dała dar rozumienia życia i mowy martwych, na pozór, przedmiotów.

Śpi Stasia, śpi, a śni jej się jutrzejsza klasówka. Jakie będzie zadanie? Może takie jak to, nad którem tyle godzin dzisiej przesiedziała?! I ostatecznie nie rozwiązała. Nie była pewna, czy trzeba podzielić, czy pomnożyć. Zawsze jej się to plącze: jeśli 100 metrów kosztuje 350 zł., to ośm metrów... A to co? książki na półce drgnęły! Jedna wysuwa się, zaraz upadnie i narobi łoskotu. Ale patrzcie! książka nie pada, tylko jak ptak leci ku Stasi i zawisa przed jej oczami w powietrzu. Kartki odwracają się z szelestem, to rachunkowa książka, a oto! i zadanie, nad którem Stasia tyle się dziś namęczyła. Widzi dokładnie temat zadania, jak go czytała dziś w książce. Tylko litery są większe i czarniejsze, zajmują prawie całą stronę. A gdy Stasia ostatnie słowo przeczytała, zeskakują litery i cyfry z kartki, a pojawiają się inne, które naprzód skaczą i wirują, w końcu ustawiają się w szeregu i Stasia odczytuje rozwiązanie trudnego zadania.

„Trzeba podzielić, podzielić!" — woła radośnie, doszedłszy do miejsca, które spowodowało tyle zmartwień i trudności. I Stasia wszystko teraz rozumie i zadanie nie wydaje się jej trudne.

Rano przypomina sobie wszystko dokładnie, klasówkę pisze na piątkę, i jest bardzo ucieszona.

Okazuje się, że rachunki nie są tak straszne, że można je umieć i Stasia po bardzo niedługim czasie przekonała się, że niema teraz takiej lekcji, którejby „nienawidziła". Do książek zagląda pilnie, uczy się każdej lekcji i ma czas na zabawę i odwiedzanie koleżanek, bo już nie musi nadrabiać.

Wszystko więc ułożyło się jaknajlepiej, ale zanim się tak ułożyło, miała Stasia jeszcze ciekawą przygodę. Jeszcze ciekawszą niż ta, z rachunkową książką. Bo do tego, że książki po koleji przychodziły w nocy do Stasi i tak długo przesuwały przed jej oczkami zadaną lekcję, że wryła się w pamięć, do tego Stacha szybko przywykła.

Było to w noc po dniu, kiedy pani Stasię pochwaliła i powiedziała, że poprawiła wszystkie dwójki.

Wybawiła się w tym dniu Stasia dowoli i na naukę nie starczyło czasu.

„Może nie będę pytana" — pocieszała się, kładąc się spać i więcej o lekcjach, ani o książkach nie myślała.

Gdy zgaszono lampę i w mieszkaniu ucichło, na półce powstał szmer.

Patrzy Stasia, a tu skaczą z półki na stół jedna za drugą jej książki i kroczą ku łóżku. A z każdej wygląda książkowy ludzik, spoglądając przyjaźnie na Stasię.

Zbliżyły się ludziki do Stasi, usiadły na poduszkę i zaczęły rozmowę.

Naprzód żale, że Stasia o nich nic pamiętała, że ich dla byle czego rzucała, że kiedy się już nimi zajęła, to tylko z musu. Że z tego wynikło wiele złego dla Stasi, a wiele przykrości dla książek. Bo książki czuły się upokorzone. Że widząc dobre chęci i zmartwienie Stasi, postanowiły jej dopomóc. Przychodziły do niej w śnie i przypominały lekcję, rozwiązywały zadania. Ale dziś Stasia znów o nich zapom-



niała. I znów zacznie się to samo. Więc przyszły dziś wszystkie do Stasi, by zawrzeć z nią umowę. Chcą być jej sprzymierzeńcami. Będą jej pomagać w lekcjach. Ale Stasia musi pamiętać i o nich. Niech sobie wyznaczy czas na naukę i w tym czasie niech się już tylko nauką zajmie. Co po za tym czasem Stasia będzie robić, to książkowych ludzików nie obchodzi. Nie mają pretensyj, by się tylko książkami zajmowała. Niech się bawi, niech biega, niech odwiedza koleżanki. Byle nie w czasie, przeznaczonym na naukę. — Czy Stasia chce zawrzeć taką umowę?

Stasia zawarła umowę i zaraz zrobiło się bardzo wesoło. Zwabiony wesołemi głosami Miś, wskoczył na poręcz łóżka, a zdziwiona lalka wysunęła się z swego kącika.

Ale już ludzik rachunkowej książki nałożył okulary i usadowiwszy się na brzeżku łóżka, powiedział:

„A teraz rozwiążemy zadania na jutro."

Baj.



PRZYGODA W POLU

W szczerem polu, na góreczce
cichuteńki dźwięczy śmiech:
to saneczki mkną z góreczki,
w nich krasnolków zjeżdża trzech
„Ha ha ha! Ha ha ha!
Jeszcze raz! i jeszcze raz!"
Bawią się, bo mają czas.

A wtem z lasu leci wrona
zazdrośnica brzydka ta:
„Ja się będę saneczkować!
Precz krasnalki! Precz! kra! kra!"

Więc krasnalki przerażone
pęc-bęc wpadły w śnieżny puch!
Lecz na szczęście spłoszył wronę
pies leśnika, „Zagraj" zuch.

Brzydka wrona odleciała
kracząc gniewnie: kra kra kra!
a krasnalki znów na sanki
powsiadały: „Wis! raz, dwa!
Ha ha ha! Ha ha ha!
Jeszcze raz! i jeszcze raz!"
Bawią się, bo mają czas.

es.

BIAŁE KOTY ZIMY

(Ciąg dalszy)

— Ale opowiesz mi potem?

Nie, wolę ci pożyczyć i przeczytaj sobie sama. Bo widzisz...

— Hela milknie i znów poprawia, tym razem spokojnie leżące warkocze — ..bo widzisz... tylko nie źdźiw się zaraz tak jak to ty umiesz, że aż ci oczy okrąglejq jak piłki!... one mnie już nudzą...

Przestrzeżona Elżbietka usiłuje się nie dziwić, więc tylko okropnie prędko mruga powiekami, by przysłonić te okrąglejące oczy i pyta, niby najzwyklejszym na jaki ją stać w tej chwili, głosem:

— Bajki???

— Tak, bajki. Bo tylko pomyśl sobie! One wciąż o jednem i tem samem: Śpiąca Królewna, Zaklęta Królewna, Królewna Zaczarowana, Baba Jędza, Baba Jaga... Już je wszystkie znam. Wiem kto je zaczarował, wiem że zawsze się odczarują i wszystko. Czy to nie smutne?

Elżbietka nie wie coprawda dlaczego ma to być smutne, więc choć robi współczującą minę, stara się Helę tłomaczyć:

— Wiesz, że się zawsze odczarują, to bardzo dobrze, bo jakbyś nie wiedziała, myślałabyś: — może się nie odczarują? i martwiłabyś się...

Ale Hela się niecierpliwi:

— Nie o to chodzi. Chcę jakiejś nowej bajki, zupełnie nowej! rozumiesz?

— Rozumiem. Poproś swej mamy to ci kupi.

— Kiedy ty nie rozumiesz! Właśnie mi dziś kupiła i...

— I co?

— i te nowe bajki to są stare.

— No to ich nie czytaj, pójdziemy sobie na wycieczkę... — chytrze wraca do swego projektu Elżbietka.

— A ty swoje. Powiedziałam już, że nie pójdę. Nie lubię łazić takim gęsim stadem, co to tu nie stąp, tam nie chodź... Zresztą... powiem ci: wyproszę od mamy szal wyszywany cekinami, złoty papier mam, zrobię sobie z niego prawdziwe pantofelki i przebiorę się za taką śliczną panią.

— A mówiłaś wczoraj, że już ci się znudziły te przebierania...

— To wczoraj, a jutro co innego.

—No tak.. — przyznaje zgodnie Elżbietka, — ale ja myślę, że jakbyśmy poszły do lasu, moglibyśmy tam spotkać kogoś...

— Kogo? gajowego chyba...

— Może i gajowego, ale ja nie o nim myślałam. Moglibyśmy spotkać krasnoludka, albo tańczące elfy, zresztą co wolisz...

Hela wzrusza ramionami:

— Jestem pewna, że nic byśmy nie spotkały, bo jakże, ty chcesz żeby były w tym lesie elfy, albo krasnoludki? W tym zwyczajnym lasku, który doskonale wszyscy znają? Zresztą przestraszyłyby się hałasującej gromady i w mysie norki pokryły.

— Dlaczego? sama mówiłaś, że w tej książeczce o krasnoludkach jest jak one bawią się z dziećmi.

Ale Hela nie ma czasu na odpowiedź, bo przez otwarte okno korytarza wysunął dzwonek swą świecącą łysinę i jął z całego gardła nawoływać do klasy.

Posypały się więc wszystkie dziewczęta z podwórza w te drzwi szeroko rozwarte, jak garść paciorków w równy dwójrządek się wytaczających. Przesypały się z głośnym szelestem przez korytarze i już każda tkwi nieruchomo w swej ławce.

Dzwonek sapnął i zamilkł uspokojony.

Ostatnia lekcja, a jutro... jutro niedziela!

— — — — — — — — — — — — — —

— Niedziela! — radośnie upewniła się nazajutrz Elżbietka, widząc na krześle przy łóżku odświętną sukienkę.

Nie chciało jej się nawet przekomarzać ze starym zrzędą zegarem, który uparcie wybijał ósmą godzinę, zdawało mu się bowiem, że Elżbietka, jak co dzień, śpieszyć się powinna do szkoły.

— Niech sobie bije! — myślała z uśmiechem udając że śpi jeszcze.

Zegar aż zaniemówił ze zdumienia, a płaska twarz jego pobladła.

Żal się zrobiło Elżuni starego zrzędy, więc podniosła się na łóżku:

— No! no! nie gniewaj się staruszku, przecież to dziś niedziela!

I nagle teraz dopiero przypomniała sobie o wycieczce.

Jeszcze zegar nie zdążył doliczyć do dziewięciu, gdy Elżbietka już była na uli-

Poczciwe płyty chodnika odbijają ją jak gumową piłkę, że prawie ziemi nie dotyka, ale...

Ale szkoła pusta!

Już poszły.

Stoi Elżbietka przed bramą. Sama stoi.

...poszły na wycieczkę, do lasu, bez niej... poszły sobie...

Zgrabiałemi nagle palcami zapina rozpięty w biegu paltocik, bo skądś powiał zimny, przejmujący wiatr i niewidoczna w górze chmura przesłoniła słońce.

— A kiedy sobie poszły... kiedy poszły... to... to niech sobie idą i już... — mruczy Elżbietka niewiadomo do kogo i trze oczy chusteczką, bo chyba jej co wpadło, tak pieką.

Cóż? trzeba wracać. Więc wraca...

Idzie teraz Elżbietka z powrotem tą samą uliczką, ale płyty chodnika mięszają się, plączą, do podeszew lgną wlokącym się, kamiennym ciężarem, że ledwie krok za krokiem stawia. Idzie jednak. Długo, bardzo długo idzie. Aż przyszła przed dom.

Ale tutaj stanęła, bo przyszło jej nagle do głowy, że jeszcze nie jest zbyt późno i dobrze wyciągając nogi mogłaby wycieczkę dogonić.

— Że też wcześniej nie pomyślałam! — sama na siebie fuka i zebrawszy wszystkie siły odbija się znów w długich skokach od ziemi, że ledwo cień, przez słonko wymalowany, boczkiem kroku dotrzymać jej może.

Miasteczko, widząc, że Elżbietka chce je czemprędzej opuścić, cofnęło się zadąsane i dziewczynka znalazła się na pustej polnej drodze.

— Tędy szły! — ucieszyła się widząc drobno udeptane koleiny — ale już ich nie widać — zmartwiła się zaraz. — A żeby tak krótszą drogą, przez pole naukos do lasu?

I już hyc! hyc! hyc! po rozsypujących się popielato skibach sunie Elżbietka trzepocząc połami rozwianego paltota, jak młoda kuropatwa skrzydłami. Aż zając na miedzy stanął słupka i wąsami rusza z podziwu, a ogląda się trwożnie, czy gdzie myśliwegc nie widać, co za tą dziwną zwierzyną łapczywie pospieszy.

Ale dziewczynka już w lesie. Zaraz się do niej przygarnęły drobne krzewy i czepiając się ubrania kruchemi gałązkami, nie chciały od siebie puszczać, że im przemocą prawie musiała te cieniuchne paluszki kolczaste rozginać.

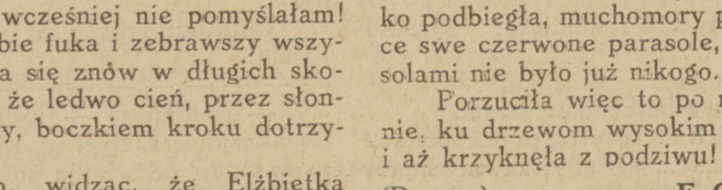
Tłomaczyły jej więc na migi, że nic złego uczynić nie chcą, jeno się zabawić wspólnie, bo im tu samym nudno. By ją przekonać i udobruchać, podawały przywarzone nieco rannemi chłodami, jeżynne grona i te orzechy same się do rąk łuszczące gładko.

Ma się rozumieć, że dziewczynka nie dała się długo zapraszać do tych smakołyków i dobrą chwilę zabawiła wśród gościnnej gromady.

Szła teraz wolno, podśpiewując, a rozglądając się pilnie. Czy gdzie jakiego krasnoludka nie ujrzy? Ale nie. Zaczerwieniło się wprawdzie to tu to ówdzie wśród mchów zrudziałych, ale skoro tylko podbiegła, muchomory pchały jej w ręce swe czerwone parasole, lecz pod parasolami nie było już nikogo.

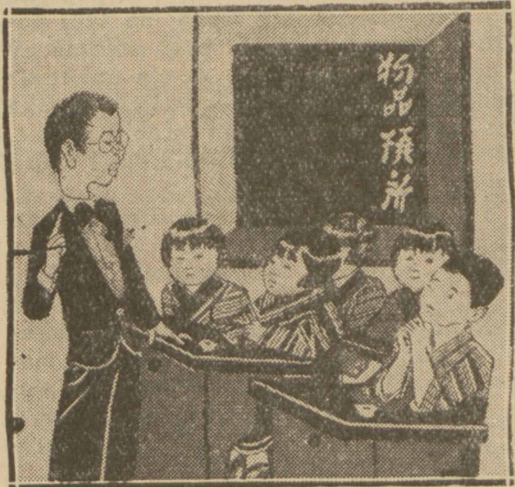
Porzuciła więc to po mchach szperanie, ku drzewom wysokim oczy podniosła i aż krzyknęła z podziwu!

(D. c. n.) E. Grudzińska.



MIŁOŚĆ MATKI

(Japońska legenda).



Ito, mały japoński nauczyciel z wielkiemi okularami na nosie tak rzekł do swych uczniów: „Opowiem wam dziś legendę o miłości matczynej, jaak nam została przekazana przez przodków naszych. Narody Europy czczą przez jeden dzień w roku Matkę. Raz w roku budują Jej ołtarz i składają na nim podarunki i kwiaty. Ale w waszych sercach niechaj codzień i każdej chwili żyje pamięć ofiarnej miłości Matki i niechaj chyli głowy wasze ze czci przed Nią.

Posłuchajcie więc o miłości, która dokonała cudów cud, wzruszyła bowiem serce tyrana.

Przed wielu, wielu laty, mieszkał u stóp góry Obatsuyama, w prowincji Szinano, ubogi wieśniak, ze starą swą i chorowitą matką.

Posiadali oni kawałek ziemi, akurat tyle, by się wyżywić i żyli sobie cicho i spokojnie.

Prowincją Szinano rządził wówczas despotyczny książę, który nie cierpiał wszystkiego co chore i stare, co przypominało śmierć i uprzytomniało, że wszystko mija. Mija młodość, siła, mija życie samo.

Ustanowił więc okrutne prawo, by zabijano wszystkich starych ludzi, niezdolnych już do pracy. Prawo należało wykonać natychmiast.

Zdarzało się czasem w prowincji Szinano, że wyprowadzano bardzo starych ludzi na górę Obatsuyama i zostawiano tam swemu losowi. Ale nie było to nigdy dotychczas nakazem! Strach więc i rozpacz padła na całą prowincję, a serce ubogiego wieśniaka, który bardzo swoją matkę kochał, drżało jak bambusowa trzcina na wietrze.

Ale ktoby śmiał nie usłuchać rozkazu potężnego władcy?!

Skoro więc słońce zaszło, zaczął się wieśniak przygotowywać do odprowadzenia matki na górę śmierci. Zawiązał w węzełek trochę gotowanego ryżu — pożywienie ubogich — zabrał dzban zimnej wody i dźwignąwszy matkę na plecy, skierował się ku górze. Wejście było strome i śliskie. Zmierzch już padał na ścieżki, które przecinały górę. Było ich mnóstwo, ale wieśniak nie zastanowił się, którą z nich wybrać. Szedł pierwszą lepszą, szybkim, niespokojnym krokiem widząc jedynie skalisty szczyt góry.

Ale troskliwe serce matki, które wyczuwało ból i niepokój syna, patrzyło dalej. Staruszka wiedziała, jak niebezpieczne jest zejście z góry, jak łatwo zejść z właściwej drogi. Rwała więc po drodze zeschłe gałązki drzew i krzaków, i rzucała za siebie niewielkie wiązki, by zaznaczyć drogę dla syna. Nie myślała o tem, co ją tam na górze czeka, lecz o tem by syn dostał się szczęśliwie do domu.

Księżyc wyjrzał z za chmur i ze współczuciem patrzył na ostatni trud matki, którą przenikała miłość i troskliwość dla syna.

Kiedy stanęli na szczycie góry, urządził wieśniak matce posłanie, przykrył ją swoim płaszczem i ze łzami w oczach pochylił się, by się z nią pożegnać.

Ani jeden jęk, ani jedno słowo skargi nie wydobyło się z ust matki. Wyszeptała błogosławieństwo, podziękowała za trudy i opiekę, a wkońcu rzekła drżącym głosem: „Idź już, drogi mój, do domu, ale uważaj, jak idziesz. Rzucałam po drodze wiązki gałązek, łatwo więc odnajdziesz drogę, którą się tu dostałeś. No! a teraz bywaj zdrów i nie martw się o mnie. Ustępuję miejsca w chacie chętnie młodszej kobiecie, którą pojmiesz jako żonę."

Gdy wieśniak spojrzał na ręce matki

podrapane przez suche gałęzie, wstrząsnęło nim łkanie.

„Najwyższej czci godna matko! — byłbym nie godzien twej dobroci, gdybym cię miał tu zostawić samą, bez pomocy. Razem poszukamy ścieżki znaczonej gałązkami i razem nią zejdziemy. A gdy będzie trzeba, to potem razem umrzemy."

I po raz drugi wziął matkę na plecy. Jakże lekką wydała mu się podczas powrotnej drogi!

Przyszedłszy do domu ukrył ją w komórce, obok kuchni, a ze strachu, by nikt się o obecności staruszki w domu nie dowiedział, rozmawiali ze sobą tylko w nocy i szeptem.

Po jakimś czasie minął strach, przyzwyczaili się, poczuli nieco bezpieczniej. Ale wtedy nowy cios dotknął nieszczęśliwą prowincję Szinano.

Okrutny władca, chcąc zaznaczyć jak nieograniczoną posiada władzę nad swymi poddanymi, rozkazał obwieścić heroldom: „Książe wasz nakazuje, by mu skręcono powróz z popiołu — i w przeciągu tygodnia złożono u jego stóp. W razie przeciwnym będzie musiał każdy z poddanych drogo głowę swą okupić."

I znów padł strach i rozpacz na nieszczęśliwą prownicję Szinano, a w nocy opowiadał nasz wieśniak matce swojej szeptem o niedoli kraju.

„Jeżeli posłuchasz mojej rady" — odpowiedziała staruszka — „będziecie się może mogli uratować. Skręć powróz ze słomy, połóż go na płaskich kamieniach i spal w noc bezwietrzną."

Syn usłuchał matkę a gdy ogień zagasł ujrzał na kamieniach powróz z popiołu. Najdrobniejsze włókienko było widoczne, a wieśniak dziwił się i był wdzięczny matce.

Kiedy u stóp księcia złożył kamienie, z ułożonym na nich powrozem z popiołu, zapytał go książe, jak wpadł na taki pomysł. Wówczas wieśniak padł przerażony do nóg księcia, wołając: „Biada mi! teraz wyjdzie na jaw cała prawda. To matka moja poradziła mi co mam zrobić, matka, którą uratowałem przed śmiercią i którą ukryłem."

I opowiedział dokładnie o zajściu na górze Obatsuyama.

Gdy skończył opowiadanie, książę długo stał jeszcze zamyślony. Potem rzekł: „Z tą chwilą znoszę prawo, nakazujące zabijać starych ludzi. Jakże mogłem zapomnieć o przysłowiu: „Ze śnieżną koroną przychodzi rozum do głowy." Nie tylko siła młodości potrzebną jest krajowi, ale i rozum starości."

Od tej chwili żyli starzy ludzie w gronie swej rodziny, jak długo im natura żyć pozwoliła. Szczególnie zaś matkom oddano zaszczytne miejsce w domu i otaczano je najwyższą czcią.

Oto jest legenda o miłości matki, miłości, która dokonała cudów cud, poruszyła bowiem serce tyrana" — zakończył Ito, mały nauczyciel japoński, który miał wielkie okulary na nosie.

„Przekażcie ją kiedyś dzieciom waszym, kiedyś... gdy dzieci będą prosić, by im coś opowiedzieć, a wy będziecie sobie grzać ręce nad żarzącemi węglami.

Podług „Kinderfreund".

